

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

10

Przez przeciąg minuty słuchał uważnie, poczem zawołał żywo, z rozdrażnieniem w głosie:

— Hallo! Asselin! Doprawdy, mój kochany, pytam się, czy nie zidyociałeś w jednej chwili! Proszę, posłuchaj mnie pan do końca. Mówię panu, żebyś poszedł zabrać starego profesora, stamtąd gdzie się jeszcze znajduje, to jest z aresztu — rozumie pan? A potem masz go zaprowadzić tam, gdzie wiesz. Konfrontacja z pana ptaszkiem może być bardzo ciekawa. Co pan mówi? Ależ, naturalnie, do Saint Mandé, do pensjonatu pani Donay. Cóż się stało, że pan tak ciężko dziś wszystko pojmujesz?

— Ach! To balwan! — szepnął odchodząc od telefonu — Co mu się stało? Otumaniał całkiem!

Ale mnie nagle dziwna myśl przyszła do głowy. Skoczyłem do Tharpsa i pochwyciłem go za rękę, ciągnąc z powrotem do aparatu.

— Wiliamie! Wiliamie! — wołałem gorąco — Czyś ty pewny, że rozmawiałeś przed chwilą z Asselinem? Przypomnij sobie przerwanie komunikacji — trwało krótko — ale...

Tharps rozpaczliwym ruchem pochwycił się za głowę.

— Co ty mówisz? Może masz rację. Ktoś obcy przejął rozmowę przeznaczoną dla Asselina. To niezrozumienie sytuacji — idiotyczne odpowiedzi! Tak, tak! Oczywiście! To wypytywanie mnie! Ktoś z naszych przeciwników znajdował się przy aparacie w czasie przerwy i podszedł mnie! A do diabła! Co teraz będzie?

— Czy zdradziłeś się z całym swoim planem? — zapytałem zaniepokojony nie na żarty.

— Naturalnie! Ten lajdak wszystko odemnie wyciągnął. A to pech! Tyle pracy, tyle ostrożności, aby zdradzić się w ostatniej chwili!

Nie śmiałem go pocieszać, bo sam rozumiałem dobrze, że stała się rzecz nieodwołalna i niebezpieczna w skutkach dla akcji, tak przez niego starannie obmyślanej.

Tharps po przejściu pierwszego oszołomienia skoczył do telefonu i szarpać zaczął z wściekłością, dzwoniąc i wołając głośno ajenta.

Niespokojny i rozdrażniony sam do najwyższego stopnia, ująłem drugą słuchawkę, nadsluchując chciwie.

Nareszcie posłyszeliśmy dobywający się z aparatu jakiś głos.

— Czy to ty, Asselin? — zawołał Tharps, łudząc się jeszcze jakąś nadzieją.

Ale zamiast odpowiedzi usłyszeliśmy tylko głośny wybuch ironicznego śmiechu.

— Ach, kanalia! — szepnął Tharps, usuwając się bezwładnie na krzesło! Tym razem, to już koniec wszystkiego!

Wieczór był bardzo pogodny i ciepły, woleliśmy więc udać się pieszo do pensjonatu pani Donay.

Mój przyjaciel w milczeniu palił papierosa za papierosem. Widziałem, że jeszcze nie ochłonął z wrażenia poprzednio odebranego, bo od czasu do czasu skurcz nerwowy przebiegał przez jego twarz po bladą.

Przed chwilą, kiedy z telefonu rozległ się był ten szatańsko złośliwy wybuch śmiechu, Tharps z wściekłością przerwał komunikację i odskoczył od telefonu. Ale po kilku minutach znowu zażądał połączenia z dyrektorem policyjnym, wypytyując się, co się stało z Asselinem. Odpowiedziano mu, że inspektor właśnie co wyszedł z biura i nikt nie miał pewności, czy on to odebrał ostatnie polecenia Tharpsa, czy też kto inny. W każdym razie ten wybuch śmiechu był bardzo podejrzaną wskazówką. Asselin nie byłby sobie nigdy pozwolił na żart tak niewłaściwy.

Nie było więc wątpliwości, że ktoś przejął rozmowę przeznaczoną dla ajenta. A rozmowa ta była bardzo ważną, zawierała ostatnie zlecenie Tharpsa i ujawniała cały plan jego z godzin ostatnich. Ja sam choć nie zwracałem zbytnej uwagi na jego słowa — dowiedziałem się, że Tharps spodziewał się, iż dzisiejszej nocy pseudo-markiz da Santa Cruzę wślizgnie się do pensjonatu pani Donay. Ale w jakim celu? Czy dla popełnienia nowej jakiej zbrodni? Tego zdaje się i Asselin sam nie wiedział. Wiliam przypuszczał, że będzie go można zręcznie przychwycić,

zdemaskować i oddać w ręce Asselina, który miał mieć gotowy rozkaz aresztowania przy sobie.

Aby zaś inscenizację tę podnieść do większej potęgi, Tharps, który nie pogardzał teatralnymi efektami, chciał na to samo miejsce sprowadzić profesora Schoettena i skonfrontować z nim Hiszpana.

Otóż te wszystkie przygotowania przestały być tajemnicą obecnie i cały ten plan, zbudowany przez Tharpsa, był bezowocny. Kto wie nawet, czy my zamiast zostać zwycięzcami, nie mogliśmy paść ofiarą zasadzki zastawionej na nas przez markiza i Charttona.

Sytuacja zatem nie była wesoła i nie dziwiłem się wcale rozdrażnieniu Tharpsa. Nie chciałem go więc męczyć pytaniami, chociaż dręczyła mnie ciekawość dowiedzenia się od niego, skąd Asselin był tak dobrze poinformowany co do nocnej wyprawy markiza do pensjonatu „Donay“. Ale może i Tharps sam nie wiedział o tem.

Podczas naszej krótkiej przeprawy do Saint-Mandé obserwowałem bacznie mojego przyjaciela i z przyjemnością spostrzegłem, że ruch i świeże powietrze dodatnio działają na niego. Zły humor i rozdrażnienie zaczęły powoli ustępować. Skorzystałem z tego lepszego jego usposobienia i zawiązałem z nim rozmowę.

Dowiedziałem się więc od niego, że zręczny Asselin, idąc za śladami Hiszpana, odnalazł jego kochankę i od niej to zasięgnął wiadomości bardzo ważnych. Przedewszystkiem zdradziła przed nim zamiar markiza odwiedzenia dzisiejszej nocy pensjonatu „Donay“.

Chciał on tam odszukać zagubiony papier w miejscu nieznanem przez nikogo. Co zawierał ten papier, o tem kobieta nic nie wiedziała, ale Tharps przypuszczał, że był to jeden z aktów skradzionych profesorowi. Wiadomości odebrane przez Asselina musiały być pewne, tembardziej, że przyjaciółka markiza zapłonęła nagle miłością do ajenta i nie wiedząc, z kim ma do czynienia, w naiwności swojej zdradziła plan swojego kochanka, nie domyślając się, jakie to ważne skutki jej gadatliwość wywołać może.

Kiedy przybyliśmy do pensjonatu „Donay“ — Wiliam skonstatował z przyjemnością, że dookoła willi zaciągnięta była dyskretnie straż policyjna. Rozpoznał w tem umiejętną rękę Asselina. Dzięki więc tej ostrożności nikt wejść ani wyjść nie mógł z pensjonatu, nie będąc widzianym.

Przywitawszy się z panią Donay, udaliśmy się do jej gabinetu, który oddała do całkowitej naszej dyspozycji. Aż do godziny w pół do jedenastej nie zaszło nic szczególnego. Około godziny dziesiątej służba rozeszła się do swoich pokojów, a w głównym salonie pozostało tylko parę osób, zabawiających się rozmową.

Zadna z nich jednak nie przypuszczała nawet, jaka scena miała się wkrótce odegrać w pensjonacie i nie domyślała się przyczyny naszego przybycia.

Nagle w salonie uczynił się ruch jakiś. Dobiegły mnie głosy i wykrzykniki dyskretnie i poznałem głos pani Donay, witającej nowego jakiegoś gościa.

Serce zabiło mi gwałtownie. Przeczuałem, że teraz nadeszła chwila decydująca i że zasadzka, urządzona przez Tharpsa, udała się. Chwilę przedtem jeszcze słyszałem, jak pułkownik Ricotte wychodził z salonu i odgłos głosów na schodach.

Mimowoli spojrzałem wówczas na Tharpsa i z twarzy jego skupionej i błyszczących oczów poznałem, że rozwiązanie ostateczne jest bliskie.

Chciałem już towarzyszyć mu do salonu, bo pewnym byłem, że bezzwłocznie się tam uda, kiedy dobiegł mnie już wyraźnie cudzoziemski akcent profesora Schoettena. Upadłem z powrotem na fotel, przeklinając w duchu podstęp Asselina. Po chwili spojrzałem na Tharpsa. Nic w jego twarzy nie zdradzało zaniepokojenia lub wzruszenia. Powstał i skinąwszy na mnie ręką, udał się do salonu.

Poszedłem za nim, dziwiąc się w duchu, że nie czekał na sposobność dogodniejszą dla siebie.

W chwili, kiedy stanęliśmy na progu salonu, stary profesor, gestykulując szeroko, opowiadał zgromadzonemu dzieje swojego niezwykłego porwania.

Obrócony był do nas plecami, mogliśmy więc przysłuchiwać się do słuchających go z zaciekawieniem, nie będąc przez niego widzianymi.

Ale nagle stała się rzecz, której nie oczekiwałem wcale. W chwili, kiedy profesor silnie zdenerwowany i podniecony mówił o przykrościach przymusowego swego więzienia, wywołując szczere współczucie, a nawet łzy w oczach pań, otaczających go, Tharps przerwał jego wywody głośnym wykrzyknikiem:

— Słuchajno, przyjacielu, zapomniłeś, jak widzę, o swoim akcencie cudzoziemskim!

Na dźwięk tego głosu starszek odwrócił się z żywością, która mnie zdumiała, że względu na jego wiek i męczące reumatyzmy.

— Co to znaczy? — wykrztusił z trudem.

Spojrzenie jego wystraszone pobiegło ku Tharpsowi, a potem ku drzwiom.

Goście pani Donay, zdumieni szczególną intensywnością mojego przyjaciela i zachowaniem się profesora, powstali, oczekując wyjaśnienia.

Upłynęła długa minuta przynębiającego milczenia.

— Czy zechce mi pan powiedzieć, co to ma znaczyć? — zapytał profesor Schoetten, prostując się energicznie.

— Z największą przyjemnością! — oświadczył zartobliwie Tharps — Ale przedewszystkiem musi pan usiąść.

I prawie siłą usadowił profesora na fotelu.

Wszystkie kobiety, obecne w salonie, skupiły się trwożnie w jednym kącie, nie śmiejąc się poruszyć — mężczyźni zaś zdradzali zamiary interwencji w tej dziwnej scenie, której jeszcze rozumieć nie mogli.

W pokoju panował przykry i denerwujący nastrój, złożony z ciekawości i lęku. Jakaś stara dama upadła, drżąc nerwowo, na kanapę i szlochała cicho. Ja sam czułem, jak jakaś żelazna obręcz obejmuje mi skronie i odbiera przytomność umysłu.

Tharps, założywszy ręce w wyzywającej postawie, stanął przed profesorem, mierzząc go pogardliwym i surowym spojrzeniem.

— Czy pan zawsze jeszcze pali fajkę, panie Schoetten? — zapytał ironicznie.

Widziałem, jak ręka starszka drżeć zaczęła nerwowo.

— No! Proszę o odpowiedź — nalegał Tharps.

Ale profesor milczał uparcie.

Zapytywaliśmy się wszyscy, co to miało znaczyć.

Czyżby profesor Schoetten miał być mordercą swojego sąsiada, pana d'Orwolda? I w jakim celu Tharps czynił aluzję do jego fajki?

Z grupy mężczyzn wystąpił pan Gallmore.

— Cóż to za zagadka, panie Tharps? Czy może nam ją pan wyjaśnić?

Wiliam spojrzał na niego i uśmiechnął się.

— Jest to zagadka, której twórcą jest ten człowiek — odparł — a którą ja mam zamiar rozwiązać natychmiast.

— Co? Co? — odezwały się pojedyncze głosy.

Tharps zwrócił się twarzą do pani Donay, otoczonej swoimi gośćmi i wymówił stanowczym i silnym głosem:

— Ten człowiek nie jest profesorem Schoettenem!

Starszek podskoczył ze złością na krześle.

— Pan chyba oszalał! — zawołał — Protestuję przeciw takiej impertynencji!

— Czy może mi pan wymienić miejsce swojego urodzenia, szanowny panie profesorze? — zapytał Tharps, nie zwracając uwagi na jego słowa.

Starszek zawahał się.

— Zdaje się, że ta próba jest dostateczna — zaśmiał się Wiliam — ale mamy tu jeszcze coś lepszego.

Do salonu wszedł właśnie człowiek, skromnie ubrany. Podeszedł do mojego przyjaciela i szepnął mu parę słów do ucha. Tharps odpowiedział skinieniem głowy. Wówczas nieznajomy pospieszył do drzwi i wpuścił nowego gościa. Wszedłszy do pokoju, rozejrzał się on wokół i nagle z wyciągniętymi pięściami podbiegł do profesora, grożąc mu i krzycząc łamanym językiem francuskim.

Na jego widok wszyscy wydali okrzyk zdumienia.

Nowoprzybyły był identycznie podobny do tego, któregośmy dotąd mieli za profesora Schoettena.

Tharps widząc, że zancsi się na nieprzyjemną scenę, bo nowoprzybyły okazywał gniew coraz większy i szerszy, pochwycił go za ramię i oddał w opiekę ajenta. Sam zaś stanął przed tamtym, siedzącym bezwładnie na fotelu.

— No, Eugeniuszu Schmidt! — rzekł surowo — Poddaj się! Widzisz, że przegrałeś sprawę.

Człowiek, którego mój przyjaciel nazwał Schmidtem, zerwał się szybko i zanim opamiętać się mogliśmy, jednym skokiem, roztrzaskując wszystkich pięściami, znalazł się przy drzwiach.

Ale Tharps nie był nowicuszem w swoim zawodzie. W chwili, kiedy tamten chwycił za klamkę, silne uderzenie pięści w brzuch zważyło go jak kłodę na ziemię.

Kobiety wyleknione krzyczeć zaczęły i wołać ratunku. Zdemaskowany Schmidt, dysząc ciężko, leżał kilka sekund na podłodze, w końcu powstał powoli, poprawiając fałszywą brodę i wąsy, które w upadku odlepiły się nieco. Prawdziwy zaś profesor Schoetten, stojąc przy boku ajenta, który go przyprowadził, uśmiechał się z zadowoleniem.

Tharps postąpił parę kroków ku pokonanemu